



Cud zaczyna się wcześniej niż myślisz

XXIII Niedziela zwykła

Jezus opuścił okolice Tyru i przez Sydon przyszedł nad Jezioro Galilejskie, przemierzając posiadłości Dekapolu.

Przyprowadzili Mu głuchoniemego i prosili Go, żeby położył na niego rękę. On wziął go na bok, z dala od tłumu, włożył palce w jego uszy i śliną dotknął mu języka; a spojrzawszy w niebo, westchnął i rzekł do niego: «Effatha», to znaczy: Otwórz się. Zaraz otworzyły się jego uszy, więzy języka się rozwiązały i mógł prawidłowo mówić.

*Jezus przykazał im, żeby nikomu nie mówili. Lecz im bardziej przykazywał, tym gorliwiej to rozgłaszali. I przepętnieni zdumieniem mówili: «Dobrze wszystko uczynił. Nawet głuchym słuch przywraca i niemym mowę». **Mk 7, 31-37***

„Przyprowadzili Mu głuchoniemego i prosili Go, żeby położył na niego rękę” (Mk 7, 32).

Po uzdrowieniu córki kobiety pogańskiej, Syrofenicjanki, Jezus nadal pozostaje poza Galileą, konkretnie w Dekapolu, za Jordanem, w ziemi zamieszkałej głównie przez zhellenizowanych pogan i mniejszość żydowską. W Ewangelii według św. Mateusza czytamy, że spotkanie z tą kobietą zmodyfikowało nieco zasięg misji Jezusa. Do tej pory, rozpoznając wolę Ojca, Jezus uważał, że posłany jest tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela. Wiemy, że pod wpływem tego przekonania z początku niezwykle szorstko potraktował matkę chorej dziewczynki. Właśnie dlatego, że była poganką. Ale gdy zorientował się, że także kobieta spoza Izraela wierzy, bo dla dobra swego dziecka gotowa była znieść największe upokorzenie, dochodzi do wniosku, że Ojciec działa także w poganach. I dlatego pozostaje tam dłużej.

Bardzo dotyka mnie to, że jacyś ludzie zauważyli w swoim otoczeniu chorego człowieka i przyprowadzili go do Jezusa. Nie myśleli tylko o sobie. Kim są ci, którzy zatroszczyli się o głuchoniemego, a po uzdrowieniu nie posłuchali Jezusa, lecz gorliwie rozgłaszali to, co zaszło? Raczej nie byli to uczniowie. Marek pisze wprawdzie o tłumie (ochlos), lecz kontekst wskazuje na tamtejszych pogan. Niezwykle. Jezus usuwa się z Galilei, ponieważ w Niego nie wierzą, a poganie, po których nikt nie spodziewałby się czegoś podobnego, wierzą. Zdaje się, że sam Jezus był tym faktem zaskoczony. Wskazuje na to Jego zdziwienie wobec wielkiej wiary innego poganina - rzymskiego setnika.

Kim jest chory człowiek? Wiemy, że nie słyszy i ledwo mówi, a dokładniej, bełkocze. Ewangelista używa greckiego słowa „mogilalos”, które nie oznacza całkowitego zaniku mowy, lecz jej wadę. We współczesnej logopedii nazywa się ją mogilalią. Człowiek nie potrafi wówczas wymówić głosek dźwięcznych. Zamiast „robot”, mówi „obot”. A więc pomimo tego, że ten głuchy człowiek próbował

wydusić coś z siebie, mało kto rozumiał, o co mu chodzi. On zresztą nie słyszał własnego bełkotu, więc może dziwił się reakcjom innych.

Gdy wedle wskazówek św. Ignacego próbuję wyobrazić sobie tę scenę, to z jednej strony widzę ludzi pełnych napięcia, oczekujących cudu, ufających, że Jezus coś w końcu zrobi z tym biedakiem. Z drugiej strony mam przed sobą człowieka, którego „przyprawdzili” jak dziecko, jak niepełnosprawnego. A on w całym tym wydarzeniu pozostaje bierny jak przedmiot, który się przenosi to tu, to tam. Czy mu nie zależało, a może poddał się rezygnacji i od niechcienia pozwolił się przyprawdzić do Jezusa? Czy miał już dosyć niekończących się prób „dogadania” się z innymi, komunikacji, która zwykle kończyła się fiaskiem? Czy nie doszedł już do ściany i nie miał ochoty jeszcze raz jej przeskakiwać? To tylko spekulacje, ale on sam sprawia wrażenie, jakby wcale nie był zainteresowany poprawą swego losu. Po trosze obojętny, po trosze zrezygnowany. Niby chce, ale i nie chce. Po uzdrowieniu mężczyzna też zachowuje się dziwnie. Wprawdzie zaczyna prawidłowo mówić, ale nagle znika z pola widzenia. Nie skacze z radości. Nie rusza w świat, by głosić to, co go spotkało. Robią to za niego inni. Wygląda na to, jakby to tłum potrzebował tego cudu, aby jeszcze bardziej przekonać się o dobroci Jezusa.

Z drugiej strony, zakładając, że głuchoniemy nie potrafił czytać, w jaki sposób miał się dowiedzieć o istnieniu Jezusa? Słowa nie wystarczały, bo nic nie słyszał. Jego rodacy musieli go więc przyprawdzić do Niego, nawet jeśli chory nie miał pojęcia, przed kim staje i po co.

Wydaje się więc, że wiara bardziej promieniuje ze strony wspomnianego tłumu niż chorego. Zdarza się, że jeśli jesteśmy już zniechęceni trudnościami, cierpieniami i podejmowanymi próbami zmiany swego położenia, to nie widzimy szansy na lepsze jutro. Możemy popaść w duchową stagnację. Brakuje nam wiary. Bóg jednak co rusz posyła do nas anioła w ludzkiej postaci, który z życzliwością, a nieraz i ze stanowczością, postara się wyrwać nas z tego stanu. Łatwo to Boży sposób działania przeoczyć i zlekceważyć. Cud w dzisiejszej Ewangelii zaczyna się właśnie od tego: ludzie robią to, co w ich mocy. To bardzo wiele. Pewnie ten chory sam nie przyszedłby do Jezusa. Ale Ojciec znalazł sposób. Jesteśmy skłonni widzieć cuda tylko w nadzwyczajnościach, a przecież zapomnienie o sobie i pomoc drugiemu w potrzebie to też cud, często pierwszy i konieczny etap długiego procesu uzdrowienia. Zwłaszcza w naszych czasach przesiąkniętych indywidualizmem, który zamyka człowieka w wygodzie, zauważanie biedy innych i jej zaradzanie, bywa cudem.

Oczywiście, taki anioł z nieba niekoniecznie od razu przyniesie uzdrowienie, ale może je zainicjować. Może zachęci, aby wspólnie pójść do kina albo na spacer, po prostu wyjść z domu. Sama rozmowa już jest terapią. Człowiek zniechęcony zwykle odpali: „A co to da?” Taka odpowiedź płynie z wewnętrznego skupienia na sobie, z zamknięcia w świecie szczelnie obwarowanym, w którym równocześnie czuje się dobrze i cierpi. Taki człowiek za długo spotyka się tam z samym sobą. I świata nie widzi. Nie ma już sił, by zrobić jakikolwiek krok. Dlatego wszyscy co pewien czas potrzebujemy takiego impulsu, zachęty ze strony innych. Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

Podczas spotkania z Jezusem następuje dalszy ciąg cudu. Chrystus „odblokowuje” tego człowieka. Uzdrowia go nie mocą magii, lecz „spojrzeniem w górę”, ku Ojcu. Jezus modli się i prosi. Głuchota i trudności w mówieniu to tylko symptomy. Wprawdzie namacalne gesty Jezusa wskazują, że chodzi o chorobę uszu i mowy, ale Jego słowo „Effatha” – „Otwórz się”, pokazuje, że to nie „coś” lub jakaś „część” potrzebuje uzdrowienia, lecz cały człowiek. Nawet we współczesnej medycynie lepsze wyniki osiąga się wtedy, gdy nie skupia się bezpośrednio na samej dolegliwości, ponieważ przyczyna schorzenia nie zawsze leży tam, gdzie odczuwa się ból.

Schorzenie głuchoniemego jest symboliczne. Niby człowiek coś mówi, ale nie jest rozumiany przez innych. Trudności w komunikacji bardzo niekorzystnie wpływają na międzyludzkie relacje. Czasem spowodowane są tym, że nie potrafimy właściwie słuchać. Innym razem po prostu nie mamy nic do

powiedzenia, tylko paplamy. Mówienie musi częściej wypływać z milczenia, ze słuchania. Dlatego Jezus najpierw otwiera uszy i dopiero wtedy język zaczyna prawidłowo mówić. Paradoks polega na tym, że chociaż Jezus zakazuje ludziom cokolwiek rozgłaszać, ci w ogóle Go nie słuchają. A ich gorliwość rośnie wprost proporcjonalnie do zakazu. Czy to dobrze, czy źle? Niech każdy osądzi to sam.

Punkta opracował: Dariusz Piórkowski SJ